

W poprzednim numerze Biuletynu swoje dywagacje „nad dziwnością świata” zakończyłem stwierdzeniem, że bez wódki trudno go zrozumieć. Co prawda – do picia wódki nie namawiam, ale jeśli już pijemy, to musimy mieć świadomość, że jeśli nie będziemy zwracać uwagi na to co pijemy, to niedługo trudno będzie spotkać „prawdziwą” polską wódkę. I wcale nie mam na myśli tradycyjnej „księżycówki”, ani faktu, że coraz więcej „polskich” marek jest własnością międzynarodowych koncernów, tylko to co możemy spotkać w naszych sklepach monopolowych i innych miejscach, gdzie można nabyć, bądź uraczyć się wspomnianym na początku trunkiem. Ktoś powie – gdzie problem, przecież półki uginają się od coraz to większej liczby butelek wódki, coraz to różniejszych marek. Otóż problem jest i nawet narasta. Szkopuł w tym, że jest niewidoczny i przez to przez wielu niezauważany. Niektórzy go co prawda wyczuwają, jednak są w mniejszości, gdyż ze względu na zmianę sposobu picia wódki z tradycyjnej: „Kellner lornetę i meduzę poproszę”; na: „To kolorowe z palemką poproszę”, coraz trudniej większości poczuć smak nie tylko prawdziwej polskiej wódki, ale jakiegokolwiek wódki. Gdzie więc są praźródła mojego „niepokoj”? Otóż, jak podała prasa, sprowadzamy do Polski coraz więcej spirytusu, gdyż ze względu na surowce, z których powstaje jest tańszy od polskiego.

Oczywiście, przeciętny konsument nie zdaje sobie sprawy z faktu, że bazy dla jego ulubionej wódki nie stanowią już ziemniaki, czy żyto lecz banany, sorgo czy też inna melasa. Aby temu zapobiec Polska wywalczyła w Unii Europejskiej gwarantowany znak: „Polska Wódka”, którym mogą być sygnowane tylko polskie wódki wytworzone z tradycyjnego spirytusu, który powstaje z ziemniaków, żyta i pszenicy. Polscy producenci wódki nie chcą go jednak dobrowolnie używać, gdyż taka wódka jest droższa i trzeba pilnować, z jakiego spirytusu powstaje. Jediną grupą, która skutecznie może wywrzeć na nich nacisk (poza ustawowym przymusem) są konsumenci. Dlatego w trosce, jeśli nie o zdrowie, to o wrażenia smakowe, domagamy się od sprzedawców i producentów wódki sygnowanej znakiem „Polska Wódka”, jako gwarancji, że jest wyprodukowana z tradycyjnego spirytusu, a nie jakiegoś egzotycznego, lub co gorsza „technicznego”, czyli uzyskiwanego jako produkt uboczny w rafineriach.



Pozostajmy przy „wódczanym” temacie. Ostatnio Ministerstwo Zdrowia wykazuje bardzo dziwną aktywność. Co jeden ogłoszony, czy też „przebiegnięty” do mediów, projekt regulacji prawnych, to „genialniejszy”. O innych będzie

SHORT CUTS

PREZENTUJĄ SUBIEKTYWNY ODBIÓR RZECZYWISTOŚCI PRZEZ AUTORA I NIE POWINNY BYĆ UTOŹSAMIANE Z OFICJALNYM STANOWISKIEM WIL KRZYSZTOF OŻEGOWSKI



później, zatrzymajmy się przy projekcie rozporządzenia o badaniu trzeźwości narciarzy i oczywiście zakazie jazdy na nartach w stanie „po spożyciu”. Według tego, co opublikowano w prasie, policja ma alkomatami sprawdzać trzeźwość narciarzy. Ciekawostką jest fakt, iż dopuszczalny poziom, to tak jak podczas prowadzenia samochodu 0,2 promila. Skąd ten poziom (poza lenistwem umysłowym twórcy aktu) – nie wiadomo. Nie wiadomo także w tej chwili, jakie mają być sankcje za jego przekroczenie, ani jakie mają być warunki badania. Czy by podpaść, trzeba zjeżdżać na nartach z góry, czy tylko wystarczy mieć zapięte narty? Co ciekawe, ministerstwa nie zraża fakt, iż przeciwni tej regulacji prawnej są nawet GOPR oraz policja, która miałaby egzekwować jej zapisy. Obie te instytucje uważają, że przepis byłby martwy i tylko stanowiłby dodatkowy argument, by nasi narciarze przenieśli się za granicę, gdzie jakoś nikt nie wpadł na tak „genialny” pomysł, a wszelkie „Bombardina” czy też

„Jagertee” są na porządku dziennym, a tych którzy ich nadużyli nie usuwa się ze stoku przy pomocy alkomatu i jakoś nie stanowi to problemu dla tamtejszych władz. W Polsce nastąpi jednak ponownie okres wiary, że ostracystyczne regulacje prawne są remedium na wszelkie problemy.



Á propos regulacji prawnych, a właściwie pozostałych pomysłów Ministerstwa Zdrowia. Otóż ministerstwo ogłosiło, że chce, by wprowadzono obowiązek rejestracji wszystkich ciężarnych. Po protestach w prasie ministerstwo najpierw wyjaśniło, że ta rejestracja miałaby służyć lepszej opiece nad kobietą w ciąży, której zaproponowano by i zagwarantowano szereg badań w ciąży, a program skierowany byłby szczególnie do kobiet „w trudnej sytuacji” i z „zaniedbanych środowisk”. Potem, po dalszych protestach i uwagach w stylu: „To po co rejestracja wszystkich, skoro ma korzystać z niego tylko część kobiet”, ministerstwo podało, że wycofuje się

z projektu. I wszystko byłoby po dawnemu, gdyby nie wypowiedzi „prominentnych” posłanek z koalicji, które stwierdziły, że jednak nie widzą w nich nic złego i będą popierać ten pomysł w Sejmie.

Wobec, przynajmniej chwilowego, fiaska pomysłu z „Rejestrem ciąż”, ministerstwo podało, zapewne by zatrzeć poprzednie wrażenie, że intensywnie pracuje nad wprowadzeniem obowiązku dostarczania przy przyjęciu do pracy zaświadczenia, że kobieta wykonała badanie cytologiczne i mammograficzne. Jako uzasadnienie padło stwierdzenie, że za mało Polek się bada i w związku z tym trzeba wprowadzić przymus badania. Najlepszym sposobem na jego wyegzekwowanie mają być zaświadczenia podczas badań wstępnych czy też okresowych. Pomimo że nie znam szczegółów tego aktu prawnego, nasuwa się od razu refleksja, czy byłby on zgodny z zapisami Konstytucji? Ponadto pojawia się wątpliwość, jak często miałyby się odbywać te badania, jak byłyby rejestrowane, jak długo ważne byłoby zaświadczenie i wreszcie na czyj koszt odbywałyby się. Poza tym pozostaje problem kobiet niepracujących, pracujących w domu, na roli itd., itp. Jako argument za „obowiązkiem badania” bardzo często podaje się Szwecję, gdzie te badania są „obowiązkowe” i w efekcie zdecydowanie ograniczono „zachorowalność” na nowotwory szyjki macicy i piersi. Jednak, gdy bliżej przyjrzymy się szwedzkim regulacjom, to okazuje się, że faktycznie kobiety otrzymują wezwania na badania, ale nie jest to obowiązek bezwzględny. Otóż, jak zapewne Państwo wiecie, w Szwecji każde badanie jest płatne przez pacjenta. I mammografia kosztuje Szwedkę 120 koron (resztę dopłaca państwo). W momencie, gdy Szwedka zignoruje wezwanie na badanie, to musi ponieść jego koszty, czyli jest obciążana 120 koronami na rzecz placówki, w której miała się zbadać, ale nikt nie wymaga, by się faktycznie zbadała.

Wiadomo, że w Polsce nadal za dużo kobiet umiera z powodu tych nowotworów, ale jak mawiał klasyk: „Cyryl, jak Cyryl, ale te metody”. I tu cel jest „zbożny”, ale niestety, zabrano się do niego z niewłaściwej strony. Kłamstwo zaczyna się od statystyk dotyczących liczby kobiet

wykonujących np. badania cytologiczne. Epatuje się liczbami, że gdzieś tam zgłosiło się jedynie 20 proc. kobiet, które dostały zaproszenia. Jednakże tu jest grube przekłamanie, gdyż zupełnie nie wspomina się o kobietach, które są badane nie w ramach „programu profilaktycznego”, tylko tak podczas „zwykłej” wizyty. Dlaczego tak się dzieje? Jak nie wiadomo o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze. Po prostu badania w ramach programu po prostu są nieopłacalne, poza jednym wyjątkiem, gdy są przeprowadzane przez położną lub pielęgniarkę w ramach jednostek, które także wykonują pozostałą część badania. W pozostałych przypadkach zapłata za nie nie pokrywa kosztów, ani nie rekompensuje mitręgi biurokratycznej, by to badanie wykonać. Dlatego kobiety są badane poza tym programem i w efekcie statystyki wyglądają, tak jak wyglądają. Niestety, od lat sugestie, by inaczej rozwiązać ten problem są skutecznie blokowane przez ośrodki zainteresowane finansowo, by utrzymać stan obecny. Kolejna próba wymuszenia badań poprzez powiązanie ich z badaniami wstępnymi czy okresowymi znowu spali na panewce, gdyż ponownie nie dotrze do kobiet, do których obecnie nie dociera. Poza tym pozostaje „drobiazg”, czyli zorganizowanie szybkiej ścieżki postępowania z kobietami, u których wykryje się zmiany. Niestety, dotychczasowe doświadczenia ze sposobem postępowania NFZ w kwestii finansowania nowoczesnych sposobów leczenia chorób nowotworowych nie nastroją optymistycznie.

Na koniec refleksja dotycząca „prawodawców”, nie tylko w Ministerstwie Zdrowia. Taki sposób stanowienia prawa powoduje, że powoli stajemy się państwem totalitarnym, w niejednym aspekcie gorszym od tego, o którym wielu chciałoby zapomnieć, wielu dowodzi, że go nie było, a coraz więcej osób po prostu go nie zna z autopsji i tym łatwiej ulega demagogicznej propagandzie i wynikającemu z niej mirażowi, że wszystkie przejawy życia można opisać i uregulować prawnie, na zasadzie przymusu, a nie dobrowolności, oraz że obywatel nie ma „swojego rozumu”, dlatego myślenie ma mu zastąpić zakaz bądź nakaz.